

LUNA VELEVITKA

OSIEM
uderzeń
SERCA

ZŁAMANE SERCA #3

Rebelle ♡

WYDAWNICTWO

Copyright© Luna Velevitka
Copyright© by Wydawnictwo Rebelde
All right reserved
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
LESZNO 2026

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz @daj.mi.slowo

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska, Ewa Woźniak

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Grafika na okładce:
Kamil Korzeniowski @korzeniowski.art

Skład i przygotowanie ebooków:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-17-3


WYDAWNICTWO

Od autorki

Książka zawiera treści, które mogą być obciążające emocjonalnie dla niektórych czytelników. Pojawiają się w niej motywy gwałtu, przemocy seksualnej, scen zbliżeń, a także trudne emocje i wątpliwe zachowania bohaterów.

Tekst ma na celu ukazanie złożoności ludzkich doświadczeń, a nie ich gloryfikację.

Prosimy o rozwagę przy lekturze i zadbanie o własny komfort psychiczny.



*Niektóre błędy stają się końcem, inne zaś początkiem.
Dla tych, którzy potrafili odnaleźć miłość tam,
gdzie nie miała prawa się pojawić...*

Prolog

Chociaż drzwi windy zamknęły się za mną chwilę temu, wciąż nie potrafiłem zrobić nawet kroku. Byłem równie podniecony, co zdenerwowany. Cholera, może nawet odrobinę oszołomiony. Tak, byłem kurewsko oszołomiony, ale to uczucie było przyjemne.

Spocone palce zacisnąłem na skórzanej teczce, którą kupilem ledwie wczoraj, pachniała nowością, podobnie zresztą jak to miejsce.

Poprawiłem krawat, wziąłem głęboki oddech i w końcu ruszyłem przed siebie długim, szerokim korytarzem.

Krok za krokiem.

Z każdą chwilą coraz bardziej pewny siebie i swojego sukcesu.

Jak lew, który ma przed sobą ofiarę zapędzoną w miejsce, z którego nie można już uciec.

Wszyscy uśmiechali się do mnie i witali ze mną, jakbym był Bogiem. To był moment, w którym obiecałem sobie, że to miejsce będzie świątynią.

Kościółem.

A ja będę bóstwem, do którego będą się codziennie modlić.

Zatrzymując się przed drzwiami gabinetu z przymocowaną do nich złotą tabliczką, na której wygrawerowane było moje nazwisko, poczułem dreszcze. Przyjemne i pobudzające.

Oto ja.

Ethan Moore i moje królestwo.

Rozdział 1

Ethan

– Panie Moore! Panie Moore! – Usłyszałem za plecami piskliwy głos mojej asystentki. – Proszę poczekać!

Jej niebotycznie wysokie szpilki stukwały rytmicznie o marmurową posadzkę, co doprowadzało mnie do szaleństwa. Ciągłe tylko to uporczywe stuk-puk, jakby nie mogła chodzić na palcach. Albo boso. Może warto dorzucić to do statutu firmy, by w przyszłości uniknąć takich sytuacji. Zamierzałem pomyśleć o tym głębiej jeszcze dnia.

Zatrudniłem Dolores, ponieważ jej poprzedniczka odeszła zaraz po tym, jak z całą stanowczością oznajmiłem, że nie zostanę ani jej mężem, ani nie spłodzę z nią gromadki przeurocznych dzieciaczków, o których od zawsze marzyła. Zdaje się, że nadmieniłem również – być może nieco za ostro – by nie brała zbyt poważnie tego, że wygrzmociłem ją na swoim biurku.

Wielokrotnie.

– Ethan! – wrzasnęła nagle Dolores.

Przystanąłem, a potem bardzo powoli odwróciłem się do niej, zaciskając mocno szczęki. Na samym początku współpracy ustaliliśmy, że będzie się do mnie zwracać per pan. Wierzyłem, że przy tym pozostaniemy, bo Dolores była niezwykle profesjonalna. Była też żmija, niestety.

Nie pogrywaj sobie ze mną, ślicznotko.

Spodziewałem się zobaczyć na jej buźce choć odrobinę skruchy za ten wybuch niekontrolowanej złości i za to, że powiedziała do mnie po imieniu, ale nic takiego nie dostrzegłem. Wręcz przeciwnie, wydawała się niezwykle zadowolona, że w końcu udało jej się przykuć moją uwagę.

– Dolores – warknąłem złowrogo, mrużąc oczy. – Przestań, do diabła, wrzeszczeć. Przypominam ci, że dla mnie pracujesz. Na twoje miejsce czeka kilka kandydatek, które chętnie zajmą się moim grafikiem.

Kobieta zamrugała, trzepocząc rzęsami, które śmiało mogłyby być pieprzoną zasłoną prysznicową, a potem odrzuciła długie czarne włosy w tył i prychnęła.

Prychnęła. Na. Mnie.

– Panie Moore – odparła, łapiąc się pod boki – ignoruje mnie pan od tygodnia. Nie odpowiada na moje uprzejme „dzień dobry” ani na wesołe „do zobaczenia jutro”. Maile, które wysyłam, też pan ignoruje. Musiałam odwołać już dwa ważne spotkania – wytknęła mi.

Całkiem możliwe, że nie pamiętałem już nawet, kiedy ostatni raz się z nią przywitałem. Albo z kimkolwiek innym, jednak nie była to sprawa, która spędzałaby mi sen z powiek. Podobnie jak to, że do jej obowiązków należało również odwoływanie moich cholernych spotkań. Wziąłem głęboki wdech i chwyciłem nasadę nosa, starając się pozbyć na moment Ethana Chujka i przywołać Ethana Profesjonalnego. Spojrzałem na nią, a następnie wymusiłem uśmiech, mając świadomość, że właśnie robiliśmy przed resztą pracowników widowisko stulecia.

– Dzień dobry, Dolores – powiedziałem. – I do zobaczenia jutro – dodałem, a następnie ruszyłem w kierunku windy.

Nie słyszałem już jej krzyków ani tym bardziej stukotu tych okropnych szpilek, ale za to miałem okazję podziwiać zaskoczone twarze Marka i Bradleya, gdy ich mijałem. Na szczęście zabrakło im odwagi, by się odezwać. Inaczej urządziłbym tu rzeź.

Gdy drzwi windy się za mną zamknęły, ogarnęło mnie nagłe uczucie ulgi. W końcu byłem sam, a to zaczynało mi coraz bardziej odpowiadać. Polubiłem samotność, a ona polubiła mnie. Było nam razem cholernie dobrze. Jak w idealnym związku, z tą różnicą, że nie czułem presji, by się za bardzo starać.

Jadąc autem do apartamentu, zrozumiałem, że chyba nic mnie już nie cieszyło ani nie sprawiało, że czułem chęć rywalizacji, która do niedawna

była dla mnie motorem napędowym. Mason bezczelnie sugerował, że przechodzę kryzys wieku średniego, ale przecież ja wcale nie byłem... No dobra, byłem w średnim wieku, ale kryzys? U czterdziestolatka? Przystojni i bogaci mężczyźni nie cierpią na coś takiego jak kryzys wieku średniego. Mason diagnozował w ten sposób każdego starszego od siebie faceta. Nie, to z pewnością nie było to. Ten stan od zawsze kojarzył mi się z pięćdziesięcioletnimi idiotami, którzy kupowali sobie nowe fury, a żony wymieniali na znacznie młodsze. Ja od kilku lat trzymałem się sprawdzonych modeli aut, a moje relacje z kobietami można było określić jako dość chłodne. Nie chciałem się przywiązywać. Raz popełniłem ten błąd i już nigdy nie dam się nabrać na „miłość”. Van skutecznie mnie do niej zniechęciła, niszcząc każdą iskrę nadziei, jaka się wtedy we mnie tliła. Teraz żyłem według własnych zasad. Nie chciałem mieć żony ani tym bardziej dzieci. No i dostałem też niezwykle cenną lekcję pod tytułem: „Nie wkładaj fiuta w kobietę, której płacisz”.

Za pracę, nie za seks.

Wjechałem na podziemny parking i zaparkowałem Astona Martina na jednym z trzech z należących do mnie miejsc. Po prawej stał mój czerwony Mustang z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, a po lewej, równie leciwy, Pontiac GTO.

Moje skarby.

Moje dzieci.

Jedyne, bo na samą myśl o prawdziwym potomstwie dostawałem skrzętu kiszek.

W apartamencie przywitała mnie cisza, zresztą jak każdego dnia. Nie była ani przykra, ani złowieszcza, jak mogłoby się wydawać. Rzuciłem skórzaną teczkę na czarną kanapę i, luzując krawat, skierowałem się prosto do barku, by nalać sobie podwójną whisky.

Oficjalnie jesteś alkoholikiem, Moore.

Pilem, obserwując panoramę miasta przez rozciągające się od podłogi do sufitu okno, a jednocześnie zastanawiałem się, dlaczego nie potrafię się już cieszyć z rzeczy, które kiedyś były dla mnie najważniejsze. Które stanowiły podwaliny mojego sukcesu. Miałem przecież na swoim koncie

wiele wygranych spraw, byłem właścicielem kancelarii, która przynosiła krocie, jeździłem luksusowym autem i mogłem mieć każdą kobietę, którą tylko zechciałem.

Co, do kurwy nędzy, było ze mną nie tak?

Dopiłem alkohol i poszedłem do łazienki. Zimny prysznic zawsze wyrzucał z mojej głowy głupie myśli. Tym razem było podobnie.

Z ręcznikiem na biodrach wróciłem do salonu i wówczas rozdzwonił się mój telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się uśmiechnięta gęba Masona. Niechętnie, ale odebrałem, pamiętając, że gdy ostatnim razem zignorowałem jego próby kontaktu – postanowił mnie odwiedzić.

– Czego chcesz?

– Chętniej cipki – odezwał się wesoło.

Nie było dnia, bym nie analizował, jakim cudem on mógł być ciągle tak zadowolonym z siebie kretynek. Za każdym razem nasuwała mi się tylko jedna odpowiedź – narkotyki.

– Wybacz, nie mam żadnej – burknąłem, decydując się na jeszcze jednego drinka przed snem.

Słuchając idiotycznego rechotu tego kolorowego pajaca, podszedłem do barku i dolałem sobie alkoholu.

– Wiem, wiem – rzucił beztrosko. – Pomyślałem, że może masz ochotę wyskoczyć na miasto? Na drinka?

– Właśnie go piję. W domu.

Mason jęknął niczym dziecko sfrustrowane tym, że matka zabroniła mu czegoś naprawdę ekscytującego, a potem westchnął długo i przeciągle. Wiedział, że mnie tym denerwuje, dlatego to robił. Czasem miałem wrażenie, że młodszy Scott uważnie śledził otoczenie wyłącznie po to, by się dowiedzieć, czego ludzie szczerze nienawidzą, a potem beczelnie to wykorzystywać i obserwować ich narastającą frustrację.

Tak jak teraz.

Jęki zawodu i okazywanie jawnego niezadowolenia doprowadzały mnie do szału. Nie tylko u Masona.

– Oliver ma mentalność osiemdziesięciolatka podłączonego do witaminowej kroplówki, Tyler niespodziewanie postanowił zostać monogmistą – wyliczył smętnie. – A ty – tu zrobił krótką pauzę, jakby za chwilę miał paść żart wieczoru – ty, drogi Ethanie, przechodzisz kryzys i udajesz, że nie cieszą cię wyjścia z kumplami. To niesprawiedliwe!

– Nie przechodzę żadnego kryzysu! – wrzasnąłem do telefonu i jednym haustem opróżniłem szkło, by po chwili odstawić je z hukiem na stolik. – Jestem zmęczony! ZMĘCZONY!

– Ale z ciebie nudziarz – oświadczył Mason, po czym dodał: – A kryzys przechodzisz.

Gdyby był teraz obok mnie, najprawdopodobniej urwałbym mu łeb. Albo chociaż język. Cokolwiek, co by go uciszyło.

– Jestem odpowiedzialny, rano mam spotkanie.

I wówczas nasunęła mi się myśl: kiedy właściwie gdzieś wyszedłem? Nawet tego nie pamiętałem. Być może było to wtedy, gdy ten świrus zorganizował spotkanie w nocnym klubie, ściągając na nie swojego brata, Tylera i mnie. Wcale nie bawiłem się dobrze.

– Jeden drink. – Nie dawał za wygraną. – Wyluzujesz się, może poderwiesz jakąś fajną laskę.

– Nie interesują mnie panienki wyrwane w klubie.

To była jedynie połowiczna prawda. Kobiety mnie interesowały, nawet bardzo, ale tylko te, którym mogłem zapłacić i dostać dokładnie to, czego oczekiwałem. Od dawna korzystałem z usług ekskluzywnej agencji towarzyskiej mieszczącej się w jednym z elitarnych nocnych klubów – i było mi z tym dobrze. Wyjątek stanowiło grzmocenie głupiutkiej asystentki w każdym możliwym miejscu w moim gabinecie. Wciąż tego żałuję. Lepszym rozwiązaniem było kupowanie czasu doświadczonej prostytutki. Kobiety pracujące w agencji były piękne, inteligentne i niejednokrotnie towarzyszyły mi nie tylko w łóżku, ale i w ważnych spotkaniach biznesowych. Nie miałem w zwyczaju psuć czegoś, co doskonale działało. Nie byłem kretynem.

– Jak chcesz. – Mason westchnął teatralnie. – Ale jeśli zmienisz zdanie, będę tam, gdzie zawsze.

Po drugiej stronie nastała cisza.

– Kurwa! – zakląłem, a Scott parsknął śmiechem.



Przeciskając się przez rozbawiony tłum, próbowałem dotrzeć do schodów. Mason oczywiście jak zwykle zaszył się na górze, bo – jak twierdził – „Miejsce Boga jest powyżej chmur”.

Gdy tu jechałem, wszystko we mnie krzyczało, że to najgłupszy pomysł, na jaki mogłem się zgodzić, ale ciało niechętnie współgrało z rozumem, dlatego wyszykowałem się w ekspresowym tempie i zamówiłem taksówkę.

A teraz czułem, że będę tego żałował.

Łoży pilnował tysy ochroniarz. Dziwne, nie przypominałem sobie, by był tu ostatnim razem. Mężczyzna przywitał się ze mną ledwo zauważalnym skinieniem głowy i odsunął, bym mógł dołączyć do tego czubka w kolorowych ciuchach. Widok Masona i jego szerokiego uśmiechu pozabawił mnie jakichkolwiek złudzeń, że mogłbym się tego dnia dobrze bawić. Szczęście innych niesłychanie działało mi na nerwy.

– Przyjacielu! – Gestem wskazał na stolik. – Zapraszam!

Mój wzrok powędrował do butelki Macallana i kilku pustych szklanek. Tuż obok dostrzegłem również szklaną tacę, a na niej dwie równiutko usypane białe ścieżki.

Czyli miałem rację, jego zbyt entuzjastyczne podejście do życia wynikało z ćpania. Przez moment nawet mu pozazdrościłem, ale potem doszedłem do wniosku, że być może był tak samo niezadowolonym z życia skurwielem jak ja. Różnica polegała na tym, że on znalazł sposób na bycie szczęśliwym. Ja nie. Tkwiłem za to w czarnej dupie. Dość głęboko.

Usiadłem i bez słowa sięgnąłem po butelkę, a gdy nalałem nam obu alkoholu, Mason rozsiadł się wygodniej i podziękował mi skinieniem głowy. Nienawidziłem, gdy mi się tak przyglądał.

– Masz ochroniarza – stwierdziłem, biorąc pierwszy łyk cudownie cierpkiego płynu. – I siedzisz na... – skrzywiłem się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom – ...tronie?!

– Co mogę powiedzieć, to mój prywatny raj – odparł dumnie, omiatając wzrokiem łóżę. – Dlaczego miałbym nie urządzić go wedle swojego gustu? Czy nie o to w życiu chodzi, by czuć się... dobrze?

Miałem ochotę wylupić sobie oczy szpikulcem do lodu, gdy patrzyłem na obity czerwonym pluszem fotel, na którym Mason siedział rozwalony jak król. Bardzo chciałem, by leżąca obok niego złota korona była jedynie wytworem mojej wyobraźni, ale znałem go, nie mogłem mieć złudów. Dlatego, nie analizując zbyt dogłębnie sytuacji, bez słowa opróżniłem szkło, by od razu sięgnąć po dolewkę. Byłem wyjątkowo spięty i dziwnie przewrażliwiony. Przeskakiwałem wzrokiem między tym idiotą a tacą, która połyskiwała kusząco tuż pod moim nosem.

Kiedy ostatni raz wciągnąłem kreskę? Lata temu. A kiedy czułem spokój? Nie pamiętałem.

– Dawaj. – Sięgnąłem po tacę, co Mason skwitował głośnym, rżącym śmiechem. W jego oczach tańczyły te cholerne isierki, które pojawiały się tam, gdy udało mu się namówić drugą osobę do czegoś złego.



Suchość w ustach i potworny ból głowy. Oto, co czułem.

Pragnąłem otworzyć oczy, mimo iż miałem świadomość, że ten śmiały ruch może skończyć się wymiotami. Albo śmiercią.

Jęknąłem, czując wibrujący w mojej kieszeni telefon. Z trudem przekręciłem się na plecy i po niego sięgnąłem.

– Tak? – wycharczałem, mlaskając przy tym jak pies, któremu ktoś nie dał wody przez kilka dni. Musiałem umyć zęby.

– Panie Moore! – Piskliwy głos Dolores z miejsca przypawił mnie o ciarki, a mój mózg zaczął nieprzyjemnie pulsować. – Wie pan, która jest godzina?

Kochaniutka, nie mam nawet pojęcia, który mamy rok.

– Nie – przyznałem i z trudem przełknąłem ślinę.

– Dochodzi trzecia po południu! Nie przyjechał pan do kancelarii i nie odebrał dwunastu połączeń od Sama, a także ośmiu ode mnie. Mark wysłał kilka ważnych maili, ale oczywiście nie dostał odpowiedzi. Pana klient wyszedł stąd... hmm... – Zamyśliła się. – Niepocieszony pańską nieobecnością, a ja musiałam wysłuchiwać jego pretensji!

– A czy nie za to ci płacę? – wysapałem, próbując unieść głowę, ale była jak cholerny kamień.

– Nie! I przypominam, że jestem jedyną kobietą w pana otoczeniu, której nie interesuje pański fiut, tylko praca. P R A C A! Którą z jakiegoś powodu pan mi uniemożliwia, będąc wrednym, pozbawionym uczuć dupkiem!

– Dolores?

– Tak, panie Moore? – Mógłbym przysiąc, że przewróciła oczami, choć starała się brzmieć na spokojną.

– Do widzenia. – Rozłączyłem się.

Dałem sobie jeszcze kilka minut, by zmusić ciało do ruchu, aż w końcu uchyliłem powieki, a wtedy moim oczom ukazał się ciemny sufit. Wszystko wskazywało na to, że byłem u siebie w sypialni. To napawało optymizmem. Ale chwilę później kątem oka dostrzegłem obok siebie ruch. To zdecydowanie nie napawało optymizmem.

– Mogę liczyć na kawę?

Zduszony głos Masona momentalnie mnie otrzeźwił. Poderwałem się z miejsca, ale zrobiłem to zbyt gwałtownie, więc dosłownie sekundę później leżałem już na podłodze, z całych sił próbując nie umrzeć.

– Chyba nie... – dodał z westchnieniem.

Usiadłem i pierwsze, co zobaczyłem, to zadowolona gęba Masona Scotta. Leżał rozwalony na moim łóżku, na dodatek w samych bokserkach.

– Mason, wyjazd stąd, zanim stracę cierpliwość – warknąłem, rozmawiając skronie i jednocześnie obserwując, jak Scott powoli wstaje z łóżka i ostentacyjnie poprawia poranny wzwód, puszczając mi przy tym oko. Gdybym nie czuł się jak padlina, rozkwaśiłbym mu czaszkę.

Mason nieznośnie powoli pozbierał swoje porozrzucane ubrania i, minąwszy mnie, wyszedł z sypialni.

Co, u diabła, wydarzyło się zeszłego wieczoru? Ostatnie, co zapadło mi w pamięć, to blondynka siadająca mi na kolanach. Reszta była mglistym wspomnieniem ciągłego picia i głupich żartów Scotta.

Opadłem na podłogę i przymknąłem powieki, postanawiając, że gdy tylko dojdę do siebie, zamówię dla Dolores ogromny bukiet kwiatów.

Albo trzy.

Zastużyła.

A potem się stąd wyniosę.

Zastużyłem.

Rozdział 2

Ethan

Nie pojawiłem się w kancelarii przez dwa kolejne dni, licząc, że moja asystentka nieco się uspokoi, a ja wytrzeźwieję. Pokusiłem się również o zamówienie trzech tuzinów herbacianych róż i posłanie ich wprost pod nos Dolores. Kobieta w odpowiedzi na mój hojny gest zadzwoniła, podziękowała, przy okazji też nazywając mnie dupkiem do kwadratu, a po kilku głośnych westchnieniach oznajmiła, że tak przeorganizowała mój grafik, abym miał kilka dni wolnego.

Siedząc na kanapie i sącząc whisky, bezmyślnie gapiłem się w ekran telewizora, rozmyślając nad sensem własnego życia. Powinienem być szczęśliwy, spełniony i zdecydowanie mniej rozchwiany emocjonalnie, ale wcale tak nie było. Dzień zlewał się z nocą. Sukcesy, pieniądze, wpływy. Szemrane interesy, obok których wcale nie przechodziłem obojętnie. Wręcz przeciwnie, przyciągały mnie podobnie jak biznesmeni o wątpliwej reputacji, z którymi ochoczo współpracowałem.

Mój telefon wypłuł z siebie dźwięk wiadomości, tym samym odsuwając kretyńskie myśli o tym, jakim to jestem podłym człowiekiem.

Vanessa: Chcę pogadać.

Prychnąłem pod nosem na samo wspomnienie mojej byłej narzeczonej. Nie było jej przy mnie, gdy niemal straciłem firmę. Bez mrugnięcia okiem zabrała wszystkie swoje rzeczy i zniknęła z mojego życia, a teraz

chciała pogadać. Od kilku miesięcy kręciła się koło mnie, jakby dyskretnie dawała znać, że znów jest zainteresowana.

Z obrzydzeniem rzuciłem telefon na kanapę i wróciłem do użalania się nad sobą, co najprawdopodobniej tak bardzo mnie zmęczyło, że zasnąłem, bo obudziło mnie dopiero uporczywe pukanie do drzwi i towarzyszący mi odór alkoholu. Cała moja koszulka była nim przesiąknięta, a obok mnie leżała pusta szklanka.

– Pięknie, kurwa – mruknąłem i, odlepiając od siebie przesiąknięty materiał, wstałem, by otworzyć.

Vanessa. Jej długie jasne włosy przerzucone przez jedno ramię połykiwały lekko, kontrastując z czerwienią sukienki, którą na siebie włożyła. Była piękna. Nadal tak samo atrakcyjna jak przed laty. Patrzyła na mnie niepewnie, zaciskając szczupłe palce na torebce, co powiedziało mi, że była również zdenerwowana.

– Ethan... – Skrzywiła się, gdy jej wzrok spoczął na moim torsie. – Co ci się stało?

Zerknąłem na siebie.

– Nic – odpowiedziałem chłodno. – Co tutaj robisz? – dodałem szorstko, nawet nie udając, że sprawiła mi swoją wizytą radość. Patrzenie na nią nadal potęgowało dziwny ból w okolicach serca. Nieoczywisty, ale na tyle uporczywy, że pragnąłem się go pozbyć jak najszybciej.

– Chcę porozmawiać. – Zauważyłem, jak z trudem przełknęła ślinę. – Tylko chwilę...

Wiedziałem, że nie odpuszcę, dlatego odsunąłem się i wpuściłem ją do środka. Gdy mnie mijala, poczułem delikatną woń jej perfum, dokładnie tę samą, która towarzyszyła jej, gdy byliśmy razem. Mój żołądek niespodziewanie ścisnął się na to wspomnienie. To nie był żal, chyba również nie tęsknota. Po prostu wspomnienie życia, które wiodłem, mając kogoś u boku. Ono było z pozoru spokojne, ale czy lepsze?

Vanessa rozejrzała się po salonie, jakby była tu pierwszy raz w życiu, a przecież doskonale знаła mój apartament. Każdy jego pieprzony kąt. Odkąd odeszła, nie zmieniło się w nim prawie nic, z wyjątkiem sypialni,

która z dnia na dzień z jasnej i przytulnej stała się czarna i przygnębiająca. Pasowała do mnie.

– Napijesz się czegoś? – zaproponowałem, ale odmówiła, więc wskazałem jej gestem, by zajęła miejsce na kanapie.

Sam również usiadłem, jednak na tyle daleko, by nie czuć jej bliskości. Nie chciałem tego.

Van milczała przez chwilę, zupełnie jakby zbierała myśli w sensowną całość, a po chwili spojrzała na mnie i powiedziała:

– Tęsknię.

Jedno krótkie słowo. To, na które czekałem przez wiele miesięcy po naszym rozstaniu. Nienawidziłem samego siebie za to, że w tym momencie moje serce zabiło szybciej.

– Wiem, wiem, że to dla ciebie niespodziewane, ale... – Przymknęła powieki, a gdy znów je otworzyła, dostrzegłem w nich dawną Vanesę. Kobieta, dla której kiedyś byłem w stanie zrobić wszystko. W której byłem zakochany. – Nie potrafię już dłużej tłamsić tego w sobie. Nie potrafię i chyba... nie chcę. – Jej głos był przepełniony rezygnacją, jakby przychodząc tu, wiedziała, że i tak nic nie wskóra.

– Tęsknisz... – powtórzyłem zamyślony.

– Tak – przytaknęła natychmiast.

Mógłbym powiedzieć, że ja również za nią tęskniłem, że wyczekiwałem dnia, w którym stanie w progu moich drzwi i powie, że chce wrócić. Tak właśnie było kiedyś. Teraz? Teraz zajmowała niewielkie miejsce w moim sercu. Skrawek pokryty kurzem. Tam właśnie była. A obok niej upchane spoczywały żal, zraniona duma, całe cierpienie i miłość do niej.

– Mam ci przypomnieć, jak zostawiłaś mnie, gdy tylko pojawiły się kłopoty?

Skrzywiła się.

– A może przysłaś, żebym ci przypomniiał... coś zupełnie innego? – spytałem ochryplym głosem. Pochyliłem się, wpatrując w nią intensywnie. – Tego ci w życiu brakuje, prawda? – ciągnąłem. – Porządnego rżnięcia? To dlatego tutaj jesteś? Mam przywiązać cię do łóżka i pieprzyć? Mam ci

przypomnieć, jak skamlałaś o mojego fiuta? Jak błagałaś, by wziąć go do... – Wymownie zerknąłem na jej wargi.

Van otworzyła szeroko oczy i rozchyliła usta, zaskoczona moją bezpośredniością.

Co? Nudziarz Scott nie zapewniał ci takiej rozrywki?

– Nie... Nie, Chryste, nie! – Potrząsnęła głową, a potem nagle wstała i posłała mi nienawistne spojrzenie. – Myślałam, że... My...

W kilku krokach znalazłem się tuż przy niej.

– Oskarżyłaś mnie o wiele paskudnych rzeczy, Van – syknąłem zajadle, z radością obserwując malujące się na jej twarzy poczucie winy. – Co? – rzuciłem drwiąco. – Nie miałaś pojęcia, że o tym wiem?

– Ja...

– Dam ci dobrą radę. – Pochyliłem się nad nią tak, że nasze twarze niemal się stykały. – Zniknij. Nie przychodź tu więcej ani nie dzwoń do mnie. Zapomnij, że w ogóle istniałem.

W jej oczach zalśniły łzy, ale one nie robiły już na mnie wrażenia.

Wyprostowałem się i odsunąłem, wsuwając dłonie do kieszeni dresowych spodni. Obojętność na mojej twarzy pojawiła się jak na zawołanie.

– Zamknij za sobą drzwi, gdy będziesz wychodziła... – zawiesiłem wzrok na jej dekolcie – ...kochanie.

Wyszła, a mnie ogarnęło niespodziewane uczucie ulgi. Zupełnie jakbym pozbył się balastu, który ciążył mi przez kilka lat. Być może Vanessa właśnie nim była – ciężarem, który nie pozwalał mi ruszyć do przodu? Po naszym rozstaniu rzuciłem się w wir pracy, by naprostować sprawy kancelarii. Nie mogłem stracić mojego dorobku przez jeden głupi błąd. Nie miałem czasu na myślenie o kobiecie, która z dnia na dzień porzuciła mnie, bo przeraziło ją, że możemy zostać bez pieniędzy. Harowałem jak wół, by moja pozycja znów stała się niezachwiana, i w końcu się udało. Od tamtej pory otaczałem się wyłącznie kobietami, które nie były zainteresowane uczuciami, a miały jedynie umilić mi czas swoim ciałem.

Nigdy tego nie żałowałem.

Kolejne dni spędziłem na kanapie, pijąc, jedząc chińszczyznę zamówioną z baru za rogiem oraz ciesząc się niczym niezmaconą ciszą. Przez chwilę pomyślałem nawet, że mógłbym tak żyć. Lekko, beztrosko, ale za to z przyjemnym szumem w głowie wywołanym alkoholem. To byłaby miła odmiana, zważywszy na tryb życia, jaki prowadziłem od lat.

Zbyt intensywny.

Zbyt głośny.

Zbyt drapieżny.



Wjeżdżając windą na dwudzieste piętro, czułem się, jakby ktoś zamknął mnie w klatce. Kiedyś przepełniała mnie energia i chęć do działania. Do walki. Do rywalizacji. A w tym momencie? Cholera, tego dnia się dusiłem, a gdy metalowe drzwi się przede mną rozsunęły, miałem ochotę uciec. Gdyby nie Sam, który już na mnie czekał, pewnie to właśnie bym zrobił. Jego spojrzenie paliło żywym ogniem, a usta miał zaciśnięte, jakby się bał, że za chwilę spomiędzy nich wyleci w moim kierunku kwiecista wiązanka przekleństw.

– Ethan... – wymamrotał, zerkając wymownie na swój zegarek. – Myślałem, że skoro nie było cię kilka dni, to dziś pojawisz się punktualnie.

Będę się pojawiał, kiedy tylko zechcę.

– Przypominam, że to ja jestem właścicielem tej kancelarii. – Minałem go, kierując się wprost do swojego gabinetu.

Po drodze przeszedłem obok Marka i Betty wymieniających się jakimś dokumentami, ale żadne z nich nie ośmieliło się do mnie odezwać. Przywitali mnie skinieniem głowy, co oczywiście zignorowałem.

– A ja ci przypominam, że jestem twoją prawą ręką.

– Doskonale. Właśnie nią się podcieram. Odgrywasz więc w moim życiu niezwykle istotną rolę. Gratuluję.

Sam jęknął, a ja przyspieszyłem, naiwnie sądząc, że mi odpuści. Niestety. Słyszałem coraz szybsze stukanie jego butów o marmurową podłogę, miałem ochotę powalić go na nią i siłą zdjąć mu te wypacykowane lakierki, żeby nie robił takiego hałasu.

Tak. Nie zdążyłem wytrzeźwieć i chyba to, co wciągałem kilka dni temu, również wciąż wesoło krążyło w moim organizmie.

– Ethan! Do diabła! – warknął, zrównując ze mną krok. – Co się dzieje? Mamy jakieś kłopoty? Możemy pogadać, wiesz przecież. Jesteśmy przyjaciółmi.

Nie, nie jesteśmy.

Dreptał koło mnie, nie spuszczać ze mnie wzroku, a ja parłem do przodu, wpatrując się w drzwi swojego gabinetu z myślą, że za nimi zaznam spokoju. To był mój cel i jeśli bym go osiągnął, uznałbym to, zważywszy na mój stan, za sukces.

Mijając biurko, przy którym siedziała Dolores, dostrzegłem ogromny bukiet róż, który jej wysłałem. Niektóre z kwiatów zaczynały już usychać, ale jej to najwyraźniej nie przeszkadzało.

Kobieta, widząc mnie, wstała i uśmiechnęła się krzywo.

– Dzień dobry, panie Moore – odezwała się niezwykle śpiewnie.

Miałem ją zignorować, ale wtedy przypomniałem sobie rozmowę, podczas której wytknęła mi moją ignorancję. Przystanąłem więc niespodziewanie, a Sam wpadł na mnie, sapiąc i klnąc pod nosem.

– Dzień dobry, Dolores – przywitałem się przesadnie słodko, na co na jej ustach pojawił się triumfalny uśmiech. Sapiącego w mój kark Sama zignorowałem.

– Dol, skarbie, naszykuj nam dwie kawy i... – zaczął, jednak nie usłyszałem, czego dokładnie chciał od Dolores, bo wszedłem do swojego gabinetu i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Miałem nadzieję, że to odstraszy tego dupka i Sam nie odważy się tu wejść przez cały dzień. Najlepiej byłoby, gdyby nikt tu dziś nie wchodził.

Poluzowałem krawat i go zdjąłem, a następnie cisnąłem nim o podłogę. Gdy tylko mój tyłek wylądował na skórzanym fotelu, poczułem, jak

zółć podchodzi mi do gardła. Ja naprawdę nie chciałem tu być. Pierwszy raz od ponad dziesięciu lat nie chciałem przebywać w swoim gabinecie, nie chciałem nikogo widzieć i jedyne, o czym marzyłem, to zniknąć.

Przez następne godziny starałem się skupić na pracy, której miałem naprawdę sporo. Moja nieobecność w kancelarii odrobinę poprawiła mi nastrój, ale niestety niosła za sobą spore konsekwencje w postaci piętrzących się na moim biurku dokumentów, dlatego cały dzień i wieczór spędziłem z nosem w papierach, odbierając telefony i udając, że słucham moich rozmówców. Oczy piekły mnie od ciągłego wpatrywania się w monitor, a plecy pulsowały z bólu.

Gdy na zewnątrz było już ciemno, wyłączyłem laptopa i wstałem, rozprostowując kości, a następnie podszedłem do okna. Gdyby nie światła, którymi błyszczał Nowy Jork, mój gabinet pogrążony byłby teraz w zupełnych ciemnościach. Ogromny zegar zawieszony na ścianie wskazywał godzinę dziesiątą. Jego przesuwające się wskazówki uświadamiały mi coś cholernie ważnego – moje życie uciekało. Mijały sekundy, minuty, godziny, lata... Nie umiałem nic z tym zrobić. Może nawet nie chciałem. Nieistotne. Liczyło się to, że czas płynął, a ja tkwiłem w gównie potocznie zwanym życiem. Śmierdziało, oblepiało mnie, a czasem ciągnęło na dno, z którego jakimś pieprzonym cudem wciąż wypływałem na powierzchnię. I sam już nie wiedziałem, czy to dobrze, czy może nie. Powinienem się cieszyć, ale gdy wracałem wspomnieniami do ludzi, których posłałem do piekła... Nic już nie było czarne czy białe. Do niedawna praca wypełniała każdą sekundę mojego życia. Własna kancelaria była moim marzeniem, odkąd skończyłem dziesięć lat. Teraz? Przestałem wierzyć w marzenia.

Rozwody, podziały majątku. Dranie, których trzeba było bronić za wszelką cenę, nie zawsze za pomocą jedynie legalnych środków. Na co mi to było? Mogłem zostać treserem jebanych lwów. Albo cyrkowcem. Przy najmniej ludzie na mój widok by się uśmiechali.

Miałem wszystko i nie miałem nic.

Byłem kimś i nikim.

Nie umiałem kochać.

Nie potrafiłem nawet lubić.

Byłem zerem w drogiej garniturze i z mnóstwem szmalu na koncie.

I wówczas naszła mnie myśl. Co by było, gdybym zostawił to wszystko i naprawdę zniknął. Nie na zawsze, ale... na jakiś czas. Świat by się nie skończył, Ziemia nie przestałaby się kręcić, a ja mógłbym wreszcie odpocząć. Umrzeć i urodzić się na nowo.

Z tą myślą sięgnąłem po komórkę i wybrałem numer Sama. Odebrał dopiero po kilku sygnałach i zdecydowanie brzmiał na zmartwionego.

– Ethan? Co się dzieje?

– Przejmujesz stery w kancelarii – rzuciłem.

– Co? Ale jak to? Nie możesz, wiesz, że nie zadbam o twoich – odchrząknął – klientów. Nie dam rady! – Jego spanikowany głos był całkiem zabawny i pewnie gdyby nie towarzyszące mi palące uczucie w trzewiach, nawet bym się zaśmiał.

Nigdy nie zostawiałem kancelarii pod jego opieką. Właściwie to nie ruszałem się stąd na dłużej od lat. Nie podróżowałem, choć było mnie na to stać. Nie odpoczywałem, z wyjątkiem kilku godzin snu każdej nocy.

Warowałem tu każdego dnia jak cholerny pies.

Układałem się z politykami, malwersantami i kryminalistami najgorszego pokroju, ratując ich dupy przed publiczną nagonką, skandalem albo więzieniem. Ludzie, którzy uchodzili za śmietankę Nowego Jorku, przychodzili do mnie, błagając, bym pomógł im wydostać się z gówna, do którego wpakowali się pchnięci własną chciwością, pychą, żądzą władzy, zazdrością albo chucią.

– Wyjeżdżam – oznajmiłem. – Nie wiem, na jak długo. Dowodzisz, Sam. Nie spierdol tego.

Rozdział 3

Ethan

Wchodząc na pokład samolotu, poczułem dreszcze podekscytowania. Miałem do wyboru wiele miejsc na świecie, ale przypominałem sobie, jak jeden z moich klientów pod niebiosa wychwalał Waikiki, gdzie regularnie w tajemnicy przed żoną zabierał swoją kochankę. Sprawdziłem to i uznałem, że to miejsce powinno być idealne, by odzyskać równowagę, która w ostatnim czasie tak mocno się zachwiała.

– Życzy pan sobie czegoś? – Uprzejmy głos stewardesy wyrwał mnie z zamyślenia.

Piękna, uśmiechnięta i chętna, o czym świadczyły psotne isierki błyszczące w jej oczach oraz lekko rozchylone usta.

– Nie, dziękuję. – Odwróciłem głowę, skupiając wzrok na chmurach widocznych przez niewielkie okienko.

Na kilka sekund w mojej głowie zagościła myśl, by dołączyć do jakże elitarnego Klubu Mile High¹, ale odsunąłem ją od siebie.

Odpocznę na Hawajach, wrócę do Nowego Jorku i umówię się z Candy. To dobry plan.

Gdzieś z tyłu głowy wciąż kołatało mi się nieprzyjemne poczucie, że zachowałem się nieodpowiedzialnie, zostawiając Sama ze wszystkim. Nigdy wcześniej tego nie robiłem i jeśli miałbym być szczery, nawet mi to nie przeszło przez myśl, a jednak siedziałem właśnie w jebanym samolocie

1 Klub Mile High – slangowa nazwa nieformalnego klubu zrzeszającego osoby uprawiające seks w samolocie podczas lotu.

i leciałem na pieprzone Hawaje. To nawet zabawne, że nigdy tam nie byłem. Mogłem podróżować po świecie, zwiedzać, cieszyć się wolnością, ale tego nie robiłem. Umiałem za to gonić za pieniędzmi i to wychodziło mi znakomicie. Gdyby ktoś postanowił uczynić z tego dyscyplinę sportową, półki w moim salonie ugięłyby się od pucharów i medali.

Znałem swoją wartość.

Znałem swoje możliwości.

Ale nie znałem swojego serca, które powiedziało: „Ethan! Ty grubiański padalcu! Ogarnij się!”. Tak się czułem. Jakby wewnątrz mnie – na lewo od mostka – zagnieździło się dziwne uczucie, które pchało do podejmowania irracjonalnych działań. Nawet nie byłem w stanie określić, kiedy to się zaczęło. Na pewno dość dawno. Obserwowałem, jak Oliver próbuje być szczęśliwy, jak Tyler, który skosztował w życiu więcej cipek niż sommelier gatunków win, szaleje za jakąś gówniarą, której wcisnął na palec pierścionelek, i... No właśnie. I co? Wkurwiało mnie to. Singlem, jak ja, pozostał jedynie Mason, o którym przypominałem sobie za każdym razem, gdy natrętna myśl o gniciu w samotności uderzała we mnie jak ogromna fala o brzeg. Czy to złe, że się cieszyłem, że wciąż był sam?

– Proszę pana... – odezwała się stewardesa, znów zatrzymując się obok mnie.

Powinna się już zorientować, że nie potrzebowałem towarzystwa, skoro nawet miejsca obok mnie nie zostały zajęte. Wykupiłem je wraz z moim biletem, ponieważ nie miałem ochoty, by jakiś idiota ocierał się o mnie łokciem albo jeszcze gorzej – by siedziało koło mnie jakieś dziecko.

– O co chodzi? – Obrzuciłem ją przelotnym spojrzeniem.

– Czy wszystko w porządku?

– Tak.

– Może... – zaczęła, ale nie pozwoliłem jej dokończyć.

– Po cholerę tu pani przyłazi? – wysyczałem przez zęby.

– Zbladł pan. – Zmarszczyła nos. – Przepraszam, chciałam...

Wziąłem głęboki oddech, na tyle głośny i wymowny, że powinna się ulotnić, ale nic z tego. Dopiero gdy powoli oblizła dolną wargę, zrozumiałem,

że nie minęła jej ochota na mnie. Zacisnąłem szczęki i zjechałem spojrzeniem na jej cycki, a po chwili również na plakietkę z imieniem.

Beatrice.

Ani ładnie, ani brzydko. Dość pretensjonalnie jak na mój gust, ale biorąc pod uwagę, że znajdowaliśmy się jakieś czterdzieści tysięcy stóp nad ziemią, a ona wyglądała na chętną, chyba nie powinienem wybrzydzać.

Daruj sobie, Candy na ciebie czeka. Nie komplikuj tego...

No i bam! Odebrało mi, kurwa, rozum. Pierwszy raz od incydentu z moją asystentką dałem się ponieść i w jednej sekundzie postanowiłem, że uczynię ten lot nieco przyjemniejszym.

Wstałem i bez słowa minąłem kobietę, ocierając się torsem o jej cycki.

Pięć minut później oboje byliśmy już w mikroskopijnej toalecie, a moje palce zaciskały się na jej karku, nadając tym samym tempo dość mozolnym ruchom. Gdy dołączyła do mnie, jej spojrzenie było roziskrzzone, a usta wilgotne od ciągłego oblizywania, jakby uznała, że to całkiem seksowne. Coś mi mówiło, że to może się okazać najlepszym obciążaniem w moim życiu. To „coś” mnie okłamało. Byłem zirytowany jeszcze bardziej niż w momencie wsiadania na pokład. Wtedy przynajmniej niczego nie oczekiwałem.

– Dobra, koniec – wymamrotałem i odsunąłem ją od siebie.

Kurwa.

– O co chodzi? – spytała, obserwując, jak zapinam spodnie.

– O to, że mój fiut to nie lizak – rzuciłem, nawet na nią nie patrząc. Byłem skupiony jedynie na tym, by jej ślina, którą postanowiła mnie zbyt hojnie obdarować, nie popłamiła jasnych spodni.

Kobieta wstała i zmarszczyła brwi, zapewne zastanawiając się, co dalej. W końcu powolnym ruchem sięgnęła do suwaka swojej eleganckiej spódnicy, a po chwili granatowy materiał leżał już wokół jej stóp wciśniętych w eleganckie szpilki. W pierwszej chwili byłem zbyt oszołomiony, by zareagować, ale gdy jej palce zahaczyły o koronkowe majtki, uznałem, że powinienem natychmiast interweniować.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– No... myślałam, że mi się odwdzięczysz...

Najwyraźniej liczyła, że zanurzę język w jej cipce w zamian za mizernego loda, który już na zawsze osadzi się w mojej pamięci w szufladce z napisem: „łózkowe porażki”. Ta szufladka do tego dnia świeciła pustkami.

Nic z tego. Nie zrobiłem jej minetki, to zbyt intymne, a przelotne znajomości nie zasługiwały na intymność.

– Nie trudź się – mruknąłem i wyszedłem, zanim zdążyła mnie zatrzymać.

Wróciłem na miejsce i natychmiast poprosiłem jej koleżankę o drinka. Chyba właśnie sięgałem dna.

Dostrzegając wreszcie zarys Hawajów, poczułem przyjemną ulgę i podtekstowanie. W końcu miałem możliwość poukładać sobie wszystko i złapać oddech, bo nowojorski smród już zbyt długo dawał mi się we znaki.

Żeby dotrzeć do hotelu, musiałem złapać taksówkę, bo postanowiłem nie wypożyczać auta, czego pożałowałem natychmiast, gdy tylko uderzyła we mnie pierwsza fala gorąca. W duchu modliłem się, by znaleźć się już w apartamencie. Trzymając w dłoni rączkę od walizki, rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu idiotów w żółtych koszulkach, którzy pomagali skoordynować dojazdy do hoteli. Wszędzie panował spory ruch i niestety nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wpadłem z deszczu pod rynnę. A co, jeśli plaża będzie tak samo oblegana? Jeżeli w hotelu będzie mnóstwo ludzi, którzy będą na mnie działali dokładnie tak, jak ci w Nowym Jorku?

Nie mógłbym ich wszystkich otruć, prawda?

Potrząsnąłem głową, by pozbyć się kretyńskich myśli, i już miałem ruszyć przed siebie, gdy niespodziewanie ktoś na mnie wpadł.

– Co do... – Zachwiałem się, czując drobne palce desperacko zaciskające się na mojej koszuli.

Zamrugąłem i sapnąłem lekko oszołomiony, by po chwili zobaczyć przed sobą młodą dziewczynę z burzą rudych włosów dookoła szczupłej twarzy. Wpatrywała się we mnie intensywnie. W jej oczach migotało coś, czego nie umiałem w tej chwili nazwać. Jakaś emocja, z którą nigdy wcześniej nie miałem do czynienia. Coś bardziej złożonego niż zażenowanie.

Szum w uszach nieoczekiwanie zagłuszył mi wszystkie inne dźwięki.

Patrzyliśmy na siebie w osłupieniu przez osiem absurdalnie długich uderzeń serca. Policzyłem.

Wyglądała tak niewinnie, że nawet taki skurwiel jak ja nie mógł tego nie zauważyć.

Nagle się odsunęła. Chwila, w której była przyciśnięta do mojego ciała, nie trwała długo, ale zdążyłem zauważyć, jak bardzo zielone są jej oczy i jak intensywny kolor mają jej włosy. Rude, ale odniosłem wrażenie, że między miedzianymi pasami mieniły się też wszystkie kolory tęczy. Chciałem coś powiedzieć, cokolwiek. Spytać, kim jest i na co, u diabła, się tak zapatrzyła, że była aż tak nieuważna, ale zanim odzyskałem zdolność mówienia, już jej nie było. Uciekła, nie oglądając się za siebie.

Zanim zdecydowałem się wsiąść do taksówki, przez dziesięć minut dochodziłem do siebie, rugając się w myślach za własną głupotę.

Ethan Moore widział przecież tak wiele, że nic nie wprawiało go w osłupienie.

Nic.

Aż do tego dnia.



Waikiki było turystycznym centrum Hawajów, a plaża, chociaż niezbyt długa, okazała się niewiarygodnie piękna. Piasek o niebywale jasnym odcieniu momentami wydawał się niemal biały, a woda była idealnie niebieska. Jej kolor był tak intensywny, że wyglądał, jakby ktoś naprawdę długo pracował nad jego recepturą.

Hawaje.

Nawet nazwa wydawała mi się nieco pretensjonalna, a mimo to przyleciałem tutaj i stałem właśnie naprzeciwko ogromnych szklanych drzwi prowadzących do hotelu, w którym miałem spędzić najbliższe dni. Waikiki słynęło z luksusowych kompleksów, dlatego wybrałem jeden z nich

i właśnie przyglądałem się ścianom z kamienia, podziwiając rozłożystą bryłę budynku.

Wzięłem głęboki oddech i, ciągnąc za sobą walizkę, udałem się do wejścia.

Wnętrze okazało się dokładnie takie, jakiego oczekiwałem i za które zapłaciłem horrendalnie wysoką cenę. Przestronne, wystawne, choć z elementami typowymi dla regionu, i tak czyste, że mógłbym jeść z podłogi. Nie kryjąc zadowolenia, zatrzymałem się przed ogromnym kontuarem, za którym stała uśmiechnięta młoda kobieta w kolorowej koszuli w stylu hawajskim. W jej ruchach nie dostrzegłem sztuczności, a nonszalancki luz i niewystudiowaną uprzejmość, co bardzo mi się spodobało. Jedynie gigantyczny kwiat wetknięty za jej ucho wydawał mi się drobną przesadą, ale co ja tam wiedziałem.

I co mnie to obchodziło?

– Witamy w Hale Nalu! – wykrzyknęła radośnie. – W czym mogę panu pomóc?



Resztę dnia spędziłem w apartamencie, pokonany przez jet lag, a moją jedyną rozrywką okazało się siedzenie na ogromnym tarasie, z którego rozciągał się widok na plażę i zarys Diamond Head. Zatopiony w wygodnym fotelu od dobrych kilku godzin podziwiałem wygasły wulkan. Nie zmieniałem pozycji i chyba nawet nie mrugałem tak często jak zwykle, bojąc się, że wystarczy chwila nieuwagi, a to wszystko zniknie. Wiedziałem, że to niemożliwe, ale straciłem w życiu już tak wiele rzeczy, że głupi umysł nakazywał, bym napawał się tym widokiem najbardziej zachłannie, jak tylko byłem w stanie.

Odstawiłem pustą szklankę na stolik i wróciłem wspomnieniami do rozmowy z Vanessą. „Tęsknię” w jej ustach brzmiało jak zaklęcie, ale z jakiegoś powodu nie zadziało. Nie omamiło mnie, nie wpłynęło w żaden

sposób na moje życie. Nie otworzyło też dawno zamkniętych drzwi. Było coś w rodzaju kubła zimnej wody, który momentalnie mnie otrzeźwił. Moje serce nie reagowało już na nią tak, jak dawniej. Biło swoim rytmem. Ani szybciej, ani wolniej. Zwyczajnie.

Westchnąłem przeciągle, dochodząc do wniosku, że tak właściwie to nic już nie wywoływało mojego podekscytowania.

Wygrana sprawa? To oczywiste.

Satysfakcjonujący seks? W zasadzie prawie zawsze.

Nawet to nie wprawiało już mojego serca w szybsze tempo.

Oprócz tamtej dziewczyny.

Biło tylko dla niej przez osiem cholernych uderzeń.